

Od autora: Oto ostatnia odsłona rezultatu pracy zespołu w składzie: retro, JOLA S., spawnigamer, GregoryJ

Przed gospodą stała kompania Hoplitów, w szyk bojowy zbита, czekająca na skinienie głównodowodzącego. Dwóch zbrojnych trzymało Dytę pod pachy, a czterech następnych przerabiało lekturę na wersję przystosowaną do chędożenia. Hannibal ujął tubę, postawił klepsydę na tarczy i zwrócił się z odezwą:

– Rebelianci! Poddajcie się natychmiast i oszczędźcie nam czasu oraz nerwów! Jeśli zdołacie złożyć u mych stóp kamień czyniący złoto i dragocriketyny nim piasek przemknie w całości przez klepsydę, wówczas nabędziecie prawo do śmierci nagłej i zdecydowanej. W przeciwnym razie napiszecie doktorat z cierpienia zanim życie z was uleci. Czy wszystko jasne?

Fali poczuł, że musi w kilka sekund odnaleźć mężczyznę w sobie, więc zaczął go w myślach nawoływać, ściskając w ręku kamień zielony, właśnie ten, który już był gotów oddać, lecz pomysł nowy zdołał wskoczyć klinem i rozpuścić burzę w mózgu.

– Syzyf! Powiedz mi... grałeś ty może kiedyś w kręgle? – spytał, wskazując na zastępy wroga.

– Niezupełnie, ale robiłem przecinkę pod kolej w stuwiekowym lesie.

– To poślij im salwę. Tylko... – zbierał myśli chłopak, obejmując towarzysza ramieniem. – Jest prośba, wiesz... Precyzja... Na dziewczynę uważaj. Bardzo uważaj! – podkreślił. – Bardzo, bardzo uważaj! – podwójnie zaakcentował i zniemacka chwycił Syzyfa oburącz pod gardło. – A spróbuj ją choć drasnąć, choć lakier na paznokciach zarysować, a resztę żywota będziesz turlał, miast głazu, własne genitalia! Rozumiesz!? – Zabiegał przez chwilę o pewność, po czym rozluźnił uścisk drżących nadal dłoni. – Wybacz Syzyfie. Cholercia! Nie wiem, co mi odbiło – zreflektował. – Jeszcze raz przepraszam.

– Spokojnie, bracie – uspokajał Syzyf. – Już dobrze, będzie dobrze. Nie mam ci za złe – przekonywał. – Zresztą... już jakiś czas to podejrzewałem, przecież widać, że coś między wami iskrzy.

Syzyf wyjątkowo spokojnie przyjął cały incydent, wiedział przecież, że granica między zakochanym a psychopatą bywa wyjątkowo subtelna, cienka i ulotna jak majtusie Kleopatry. Kiedyś wiele o tym czytał. Będąc jeszcze żółtodziobem z wypiekami na twarzy śledził rubrykę psychologiczną na łamach miesięcznika: "Okrzyk Herosa". Miał gest, przecież stać go na współczucie i wyrozumiałość. A któż bogatemu zabroni? I marzenia także posiadał. A jakże? O przyjaźni i poświęceniu dla niej. Nigdy jeszcze nie był tak blisko ich spełnienia. O rzut kamieniem. Jego kamieniem.

– Wasz czas nieubłaganie upływa. Dawajcie kamień i dzieciaki! – naprzykrzał się Hannibal głosem przepuszczonym przez tubę.

I spośród bezkresnej otchłani własnej nieśmiałości zdołał Fali wytrzepać szczyptę wojownika i okruczeństwa stanu. Wydarł więc głowę:

– Dobra! Na ugodę idziemy! W pierwszej kolejności otrzymacie kamień. – Tu gestem aktywował Syzyfa, który oblał głaz oliwą z pierwszego tłoczenia (dla zmniejszenia oporów toczenia) i wprawił go w ruch, i

rotacją obdarzył. Głaz w miarę oddalania zdawał się maleć i ciągle nabierać prędkości, by w efekcie kontaktu ze stałą hoplickich zbroi huk niemiłosierny uczynić, pozostawiając pobojuwisko na obraz przejścia huraganu przez złomowisko (za niezamierzone rymy nie odpowiadam [przyp. autor]). Co najważniejsze, pojmana nie ucierpiała, nawet więcej: nowe siły poczuła i wykorzystawszy zaskoczenie krępujących ją drabów, dokonała gwałtownej dywersji manualnej na ich podwoziach, a stojącego tuż za nią Hannibala potraktowała piętą z półobrotu. Nie trwało to nawet dwóch sekund, by męskie trio zawodziło najwyższym możliwym falsetem. Dytę napełniała radość zwycięstwa i satysfakcja, że inwestycja w gminny kurs samoobrony to nie były pieniądze wyrzucone w błoto, a i fach nowy w ręku (seryjna produkcja eunuchów) kiedyś przydać się może. Już zamierzała się wycofać, powrócić do swoich, gdy uwagę przykuła skrępowana postać, niedbale porzucona pod drzewem.

– Diogenes!? Ciebie także porwali? – spytała uwalniając usta mężczyzny od zwojów tkaniny.

– Wzięli nas z zaskoczenia, nie dało się nawet pisnąć. Prędko! Pomóż mi z tą beczką. Zabili wieko gwoździami, cholerne dzikusy. Gargulca mi ubili. Uważaj, otwieramy na „trzy”.

A należało to sprawnie uczynić, gdyż pozostali hoplici, a mrowie ich ocalało, uparcie zwierali szyki.

– Zrobisz dokładnie, co ci powiem, ale wartko – instruował Dytę, tuląc zarazem świeżo odzyskaną, nieco omdlałą Partenope. – Drzyj w te pędy do gospody, połóżcie się pod ścianą i szczelnie zatkajcie uszy.

– Jasne! Chyba wiem, o co biega. – I wystrzeliła jak z procy.

– Partenope! Skarbie, weź się w garść! Musisz zaśpiewać, publiczność czeka. Będziesz miała swoje pięć minut. Recital, o jakim marzyłaś. Co im zaśpiewasz? Może najnowszą arię?

– Ehe! Przedpremierowe wykonanie.

– I zarazem ostatnie w ich życiu – dopowiedział małżonek.

– Dawno nie miałam takiej tremy.

– Damy radę. Dawaj czadu! – zdopingował żonę i włożył sobie palce do uszu.

Przecudna linia melodyczna arii wypełniła przestrzeń. Wdzierając się w kanały słuchowe hoplitów sprawiła, że otrzepali się z odrazą, jak to bywa po pierwszym kielichu. Kolejne dźwięki wpadały z coraz większą łatwością, by wkrótce wtrącić słuchaczy w audiofilską niewolę i kryzys tożsamości. Męstwo wojowników podjęło strajk, ich okrucieństwo spuściło smętnie głowę, morale straciło przytomność, a wola złożyła broń.

Gdy ostatnie dźwięki ucichły, Diogenes udroźnił sobie uszy i rozpoczął prace porządkowe:

– Bardzo proszę, by nie odłączać się od grupy i uważać na śliskie kamienie – dyrygował. – Tędy, zgodnie z kierunkiem zwiedzania. – Pokazał skalne urwisko, a sam zajął się wyszukiwaniem co ciekawszych eksponatów militarnych, by nie przepadły wraz z samobójczą procesją ludzi-lemingów.

Wieczorem gospodę zamieniono w sztab generalny przed ostatecznym szturmem...

– Diogenesie, czy twoja żona nie mogłaby się podjąć tej decydującej misji przy użyciu swego śmiercio-

nośnego przeboju? – Syzyf szukał wyjścia ewakuacyjnego.

– Niestety, to działa tylko na ludzką mierność. Nie kombinuj, bracie, jak koń pod górę, czy jaki polski politykier, tylko wysił mózdzek.

Syzyf doznał goryczy na te słowa, bowiem fechtunek umysłem nigdy nie był jego żywiołem. Wprawdzie raz jeden dane mu było zdobyć tytuł szachowego guru, lecz bardziej przypadkiem to się odbyło, kiedy Eurydyka niosąca przekąski zaczęła biustem o stół z szachownicą, zmieniając nieco położenie figur i dekoncentrując Sokratesa. Każdy jednak mógł przyznać, że Syzyf to pocziwa postać, tylko niefartem obdarzona. Głaz wytłoczył w jego charakterze cnoty nietuzinkowe, by niezłomność wymienić i tępy upór. Dla kobiet zawsze miły, do flirtu wciąż skory i do zbliżenia entuzjastycznie nastawiony, lecz z efektem mizernym: "A co to ja... karta zbliżeniowa, czy jaki ekran dotykowy?" – takową odpowiedź zwykle otrzymywał, nim poczuł pieczenie policzka. I pomiędzy masowaniem twarzy a przemieszczaniem skały wpadał w zadumę nad sensem istnienia, tak swego, jak i kamienia (Tak, tak! Wiem! - znowu te głupawe rymy [przyp. autor]). Teraz z Diogenesem nad makietą boskiej góry militarnych rozwiązań szukali, a z racji późnej pory – Morfeusza psami szczuli. Raz po raz na Falego i Dytę spozierali, gdyż tamci odgłosami młodzieńczych chichotów zakłócali pracę.

– Ciszej młodzi, do diaska, bo nie można się skupić! – parsknął siłacz. – Nie macie nic pożytecznego do roboty?

– A myślisz, że co? Że my tu na plecach leżymy? Intensywna burza mózgów, chłopie i powiem ci coś – Fali ożywił się oratorsko, podniecony sukcesami i Dytą. – Już znamy prawie na wylot ten wielofunkcyjny kamień. Chodź, Dycia – zwrócił się w stronę sterty papierów. – Najwyraźniej komuś przeszkadzamy. Lepiej będzie, jak sprawdzimy sytuację na zewnątrz, bo ostatnio nasiliły się kradzieże pegazów, a dragocriketiny lubią wpaść w drzemkę na straży.

Sterna dokumentacji technicznej poczęła drzeć jak czynne kretowisko, po czym wypłuła rozczochrane dziewczę, korygujące położenie biustonosza na ciele. Po chwili trzasnęły drzwiami, które przeniosły ich w czarujący świat rozgwieżdżonego nieba, świergotu cykad i żywicznego zapachu plantacji oliwek, przywianego znad rozległej Tracji.

– Spójrz na dzieciaki. Urodzeni gwardziści, ani drgną – zauważyła niewiasta. – Tylko te "dzieciaki" jakoś już teraz dziwnie brzmią – rzekła i zadarła głowę wysoko. – Kiedy one tak wyrosły? – znalazła czas na snucie refleksji, że rozmiary zyskały smocze w iście chomiczym tempie wzrostu. Metabolizm po ojcu tłumaczył wszystkie norki opustoszałe po wessanych trollach. Jednak coś Dytę napędliało trwogą, nieznośnym przeświadczeniem rosnącym z każdą chwilą, z każdym zerknięciem w stronę szczytu, gdzie szalał spektakl złowrogich rozbłysków. Raz jeszcze objęła spojrzeniem podopieczne stwory i wpadła w histerię:

– Jakże one przynieść mogą wybawienie, kiedy to chuchra takie o spojrzeniu książkowego mola, jakże mogą dwunastu boskich wytracić? Ta wyrocznia jednak trefna była, albo my je niewłaściwie prowadzimy.

– Nie panikuj, Dytuś, one tylko zbyt wiele przemówień Diogenesa słyszały.

– Och, Fali! Nie mogliśmy wybrać sobie gorszej pory. Martwy sezon, znikąd pomocy. By choć do ponie działku zaczekać, jak Herkules skończy brodzić po pas w Augiaszowej stajni. Jeszcze nigdy tak się nie

bałam. – I objęła chłopca w pól. – Powiedz mi szczerze. Miałeś kiedyś takiego przenikliwego, paraliżującego cykora?

– Noo... W zasadzie... Nie pamiętam, kiedy nie miałem – oznajmił i wzmocnił uścisk dziewczęcia.

Rankiem w gospodzie ruch jak w ulu, choć bardziej pod znakiem szczęku oręza, klekotu dopinanych pasów, furkotu wiązanych rzemieni i pegazowego rżenia. W końcu ruszyli pożegnawszy się z karczmarzem, Partenope i Diogenesem, który ocierając łzę szepnął: "nareszcie w spokoju poczytam".

Blisko, coraz bliżej, na tyle, by majaczyły upiorne kontury szczytu, które zdawały się być dodatkowo wprowadzone w ruch przy użyciu pobudzonej lękiem wyobraźni śmiałków.

– Spójrzcie na to cudo. Ta się dopiero potrafi ustawić – stwierdził Syzyf, wskazując zakłady przedziałnicze Ariadny. – Od teraz każdy zna swą rolę i trzymamy się planu. Jeśli zginę, Fali przejmie dowodzenie - dodał i rozwałkował głazem znak z napisem: " Uwaga! Teren prywatny. Śmiertelnikom wstęp wzbroniony."

Gwar narastał w postępie wykładniczym w stosunku do tempa zbliżania się w jego stronę – oto poznali pierwsze prawo Olimpu.

– Jazgot tu niczym w chlewni – spostrzegł Syzyf.

– I estetyka zbliżona – uzupełnił Fali.

Dyta chciała skomentować pokrótce świat zapachów, lecz uznała, że nie jest w stanie dorzucić nic oryginalnego w stosunku do tego, co już zostało powiedziane.

Rozproszyli się we mgle. Przywiązano pegaza do skały, przerzucono beczkę przez fosę i kocimi ruchami sześć cieni przemierzało posiadłość, zabiegając przy tym o dyskrecję. Priorytet: sparaliżować zdolności pościgowe wroga. Syzyf przywoływał z pamięci harmonogram imprezy. Wzięli się zatem za uwolnienie z cum flotylli chmur, rozpoczynając od Zeusowego cumulonimbusa, a na Hermesowym sportowym strato-cumulusie kończąc. Harmider i kiepska widoczność sprzyjały poczynaniom śmiałków, lecz do pewnego tylko momentu. Nim się obejrzel, byli już tak blisko, że bliżej już nie można. Ktoś rozdmuchał mgłę. "Wycofać się na pozycje" - wybrzmiała komenda. Za późno. Prowadzeni Cerberowym ujadaniem, stanęli na środku areny.

– Prometejczycy są u bram! – przetoczył się wrzask powielony echem. – Brać ich!

– Popieść ich piorunem, patalachu! – doradziła Zeusowi Hera.

– Chciałbym, kochanie, ale jest mały problem techniczny z gromnicą – odparł, usiłując dyskretnie wrzucić talię kart do sedesu.

– Niebawie! Przegrałeś miotacz gromów w pokera? – Bogini się wzburzyła.

– Ha! Ha! Dobry piesek! – Ares zadudnił śmiechem i pogłaskał Cerbera, szkolonego w karcianej szulerce. - Oddaj teraz zdobyczne atrybuty, bym mógł zasiąść na Zeusowym tronie.

– Chyba kpisz, Kurduplu! – zbulwersował się trzygłowy przerośnięty kundel. – Wieki upokorzeń, zmagających z pragnieniem zemsty i z pchłami, bym nareszcie mógł przejąć władzę absolutną. Z portiera na oligarchę. Mój geniusz stworzył biznesplan, a wy jesteście tylko małymi trybikami. Fajnie to wymyśliłem, nie? – zapytał Cerber przy użyciu drugiej głowy.

– Tak, tyś wymyślił! Akurat! – zaprotestowała trzecia głowa.

– A może ty? – odparła trzeciej pierwsza.

– Łziesz jak pies! – Tym razem środkowa.

I chwyciły się łby za łby, z tarłoszeniem, wściekłym warkotem i kłosaaniem seriami, brutalnie ustalając hierarchię ważności, a korpus Cerbera z trudem utrzymywał pion pod naporem walki, słaiając się jak wujek Mietek wracający z wesela.

Hera postukała się po czole i wróciła do dziergania węzłów gordyjskich, a Zeus patrzył znudzonym, beznamietnym wzrokiem, owijając na palec swą siwą brodę. "No, i po zamachu stanu. Standard" – powiedział do siebie, po czym skierował słowa do ogółu:

– Ech! Tyle obiecujących scenariuszy przepada w rękach partaczy... Zajmijmy się lepiej naszymi gośćmi.

– Wykonał przy tym jakiś gest dłonią, po którym zacieśniał się pierścień oblawy i narastał dźwięk osobliwy, coś na wzór siorbania, może mlaskania, po trosze.

– O rzesz w mordę! Nasza ambrozja! – to mówiąc wskazał na dragocriketiny zaspokajające pragnienie w korycie. – Bij, zabij!

– Ta wyrocznia... A jednak... – syknął żałosnie Ares.

Tutaj wyczuł Fali najdogodniejszy moment do użycia broni masowego rażenia, więc chwycił w jedną dłoń filozoficzny kamień, w drugą – rękę niewiasty i krzyknął:

– Dytko! Teraz albo nigdy! Trzy! Cztery! Wiśta wiooo! – to ostatnie wykrzyknęli w duecie, a kto żyw, temu wszelkie tekstylia migiem w pył się obróciły.

I poczuli... że są nadzy...

– Co to ma być? – zdumiał się Zeus. – Proszę mnie natychmiast przyodziać, bo na tej wysokości to figowca raczej nie uświadczymy.

Wszechogarniający nastał pat. Wszystkie dłonie zajęte zasłanianiem wstydlivosti. Napięcie zaczęło sięgać zenitu i gdy bezradność stała się wprost nieznośna podniósł głos Hefajstos:

– Zróbmy z tym coś w końcu. Zasiądźmy do stołu rokowań.

Zeus przytaknął i rzekł:

– Będę miał trzy życzenia.

– Trzy za trzy! – odparł Fali, nie przestając zasłaniać ptasiulka. – Ty zacznij, Zeusie.

- Po pierwsze: odzienie, po drugie: ambrozja, po trzecie: skutecznie opuścicie mą siedzibę.
- Tak się składa, że aby wasz majestat przebłągać i wyjść oczekiwaniom naprzeciw, taszczymy ze sobą beczkę najzacniejszej nadwiślańskiej ambrozji, którą kładziemy u stóp niebiańskich.
- Wpierw towar sprawdzić musimy pod kątem ewentualnego podstępu i czy moc należyta posiada. Dawać tu Bachusa – moczymordę!

Ten zanurzył paszczę pod lustro cieczy, a gdy powrócił ponad jej taflę długo oddechu nie mógł uchwycić, posiniał na obliczu i zatrwożył wszystkich. "I jak się czujesz?" – dosłyszał pytanie.

- Czuję... Czuję się, jak... młody bóg!
- Teraz wasze żądania – powiedział Zeus, gdy odetchnął już z ulgą.
- A więc... Najpierw uwolnić Syzyfa od klątwy i dać mu rozwód z głazem.
- Da się załatwić – rzucił Zeus.
- Następnie zaprzestać nękania ludzkości i okrutnych zabaw wszelakich.
- Czyś ty z Minotaura spadł!? Chcesz pozbawić nas sensu boskiego żywota, uczynić go próżnym, jałowym? Możemy być najwyżej o dwadzieścia procent miłsi.
- Dziewięćdziesiąt procent! – Falisław twardo negocjował.
- Trzydzieści pięć!

Ostatecznie wylicytowano wzrost dobroci dla ludzi o sześćdziesiąt procent w skali roku. Teraz zastanawiał się Fali nad trzecim życzeniem, lecz dukał i wzdychał, a nic sensownego nie rzekł, więc Dyta przejęła inicjatywę:

- Ślub nam się marzy, na Olimpie, z ręki Zeusa. Prestiż to nie lada i „lajków” sporo zbierzemy.
- Chodźcie zatem, niechaj wam pobłogosławię. Czy ty, młoda śmiertelniczko, miłujesz tego oto wyrostka?
- Kocham...

...Kocham, kocham...

- My też cię kochamy, Edyta, ale podobno miałaś się uczyć mitologii i filozofii starożytnej Grecji.
- Niniejszym, to właśnie czynię.
- Taa... A własne chrapanie to nie przeszkadza ci przypadkiem? Słuchaj... Ten niezguła Sławek znowu drze japę pod balkonem. Pyta, czy idziesz do kina? Mam go spławić, jak zwykle?

– Nie! Nie! Tym razem pójdę!

– Tylko patrz powrotu, bo babcia Jadzia będzie na kolacji.

Edyta wybiegła pospiesznie, biorąc po trzy schody w pakiecie, a gdy już Sławka dopadła, zawisła u jego szyi jak gibbon na bananowcu i prosto z mostu do ust zdziwionych przywarła, z gracją glonojada przysanego do szyby.

– No, cześć Ślawuś! A rusz się! Coś tak utkwiał niczym widły w gnoju?

– A, no bo mnie coś strasznie gacie cisną w kroku. Że zapytam... Ten całus to niby z jakiej okazji?

– Nieważne, głuptasku. Nie musisz wszystkiego wiedzieć.

KONIEC

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

GregoryJ, dodano 14.12.2017 10:26

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.